№ 17.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1843. Poznań, dnia 16. Sierpnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

I. POLANIE.

SZKIEŁKO. — *W środku uroczysko pogańskie. Przed Bożyszczem lud mnogi żertwy składa. Po jednéj stronie zdala gród okopany, po drugiéj tłumy narodu odprawują wiece.*

A to nasi praojcowie!
Polanie, jeszcze poganie!
Nie wiedząc o Bożém słowie,
Chrystusa Pana nieznają,
Bożkom się kłaniają.

Ludzie szczere i poczciwe,
Nie łakome, krwi nie chciwe;
Z gniazda Tatrów, gdzie morskie-oko,
W niezmierne świata obszary
Rozplenili się szeroko.

Bo to ich ta ziemia cała,
Gdzie Odra i Wisła biała,
Gdzie Dnieper i Dunaj stary!
W ich kraju grają trzy morza:
Nad nimi Opatrzność Boża:
Ani królów — ani panów,
Żadnéj nierówności stanów! —

W okopanych ziemią grodach,
Starostowie siedzą starzy; —
A na wiece — tłumy kmiece
Idą radzić o swobodach.
Naród rządzi — naród sądzi
I o spólném dobru gwarzy!...

II. LECH.

SZKIEŁKO. — *Lech, w dzikiéj okolicy, trzyma na dłoni młode, białe orlę.*

A to stary ojciec Lech!
A brat jego zwał się Czech!
Od Czecha poszli Czechowie,
Bliscy nam po krwi i mowie,
Szkoda tylko, że zniemczeni! —
I Szlązacy, choć Polacy,
Choć to bracia nam rodzeni,
Przodków swoich zapomnieli; —
Lecz te marnotrawne dziatki,
Wrócą kiedyś do swéj matki!...

Lech nadybał gniazdo ptasze,
W gnieździe pisklę śnieżnéj bieli —
I tam miasto wyfundował,
Starożytne Gniezno nasze!
Z tego gniazda orzeł biały
Bujno wzleciał na świat cały!

III. KRAKUS.

SZKIEŁKO. — *Wawel pusty, bez zabudowań. Z boku smocza jama, przed nią smok zabity, a nad nim Krakus, czyli Krok.*

A to stary Krok!
I Wawel — i smok!
Bo gdzie dzisiaj Kraków,
Stolica Polaków,
Przed latami wielu
Nic nie było zgoła:
Ani zamku na Wawelu,
Ani Maryi kościoła!

Kędy dziś te gmachy, dwory,
Sukiennice, krzysztofory,
W onym wieku step był goły
I tu — owdzie chata mała.
Ale lud żył w téj krainie
Zawsze szczery i wesoły,
I Wisła téż biała
Płynęła jak płynie!

Po szczęśliwych latach wielu
Przyszło licho po weselu:
Niemiec łupił lud ubogi,
A w jaskini na Wawelu
Smok się wylągł srogi!

Krok go zabił; potém Niemce
Wytłukł cudzoziemce,
I zbudował Kraków,
Stolicę Polaków!

A gdy umarł w swym Krakowie,
Na cześć wiekopomną
Usypali mu ziomkowie
Mogiłę ogromną!

IV. WANDA.

SZKIEŁKO. — *Dziewica śliczna skacze z mostu w Wisłę.*

Zalecał się Wandzie Niemiec,
Ona odmówiła.
Wrócił z wojskiem cudzoziemiec,
Łupił kraj spokojny;
Wanda nie chcąc takiéj wojny,
Do Wisły skoczyła! —

Lud mogiłę swéj królowéj
Usypał na grobie,
I póki téj polskiéj mowy,
Będzie śpiewał sobie:
„Wanda leży w naszéj ziemi,
„Co niechciała Niemca;
„Zawsze lepiéj mieć swojego,
„Niżli cudzoziemca!“

V. PIAST.*)

SZKIEŁKO. — *Chata Piasta kołodzieja. Dokoła chaty mnóstwo ludu, je, pije i obwołuje królem Piasta, rzucając czapki w górę. Na stodole gniazdo bocianie.*

Pełno myszy — kara Boża
W Polanów ziemicy:
Głód doskwiera, lud wymiera,
Choć w Kruszwicy, na stolicy,
Dość chleba i zboża! —

Przyszli święci janiołowie
Do króla Popiela,
I głodnego, ubogiego
Ludu z nimi wiela.

Lecz królowa była Niemka,
Skąpa cudzoziemka;
Drzwi zatrzasła, nic nie dała,
Jeszcze połajała. —

Poszli święci janiołowie,
Z nimi ludu wiela,
Chłodno-głodno idą z miasta;
Wyszedłszy na pole
Widzą chatę, niebogatę,
Lecz że bocian na stodole,
Wstępują do Piasta.

Piast gospodarz gości wita,
W dom wprowadza, za stół sadza,
Kto i zkąd nie pyta.

A Rzepicha gospodyni
Jeść i pić przynosi;
Kto wziął mało, wnet przyczyni,
I prosi a prosi.

A gdy naród wciąż napływa,
Wszystkim rada, wszystkim szczera,
Od alkierza drzwi roztwiera
I co ma — rozdaje.

Coraz nowe głodne zgraje
Oblegają dom dokoła;
Jedzą, piją, nie ubywa —
Zawsze pełne misy, dzbany,
Bo dar Boży, wciąż się mnoży.

Bacząc na to Lud zebrany,
Jednogłośnie woła:
„Kołodzieju, dobrodzieju!
„Panujże nam, panuj!
„A ty ludu, pomny cudu,
„Szanuj Piastów, szanuj!“

— „Oj będziem ich szanowali,
„Byle dobrze panowali!...“

I jakoby w dzień wesela
Gody się zaczęły,
A myszy z całéj ziemicy
Gopło przepłynęły —
I w Kruszwicy na stolicy
Zagryzły Popiela!...

VI. ZIEMOWIT.

SZKIEŁKO. — *Tłumy ludu; król Ziemowit w środku, dzieli je na dwie części — po jednéj konie i oręże, po drugiéj narzędzia rolnicze.*

A to syn Piastów, Ziemowit król!
Długo panował, nie popróżnował!
Lud był szczęśliwy, król sprawiedliwy,
A chleb tani i tania sól!...

Ziemowit jeździł po swéj koronie,
I lud wszystek dzielił na dwie stronie:
„Tobie pług — a zaś tobie koń,
„Ty na chleb rób, ty kraju broń!...“

*) Ten wiersz drukowanym był w „Album“, wydaném w Galicyi — umieszczamy go tu z małemi odmianami dla uzupełnienia przerwy, którą właśnie zapełnić może, lubo widocznie innego jest pióra, niż reszta „Szajne-Katarynek.“

I stąd to poszła różnica
U nas chłopa a szlachcica!
Ale w onczas równi byli,
Jako bracia z sobą żyli;
Każdy na swéj własnéj roli.

A bali się ich Niemcowie,
Szczęścia więc było do woli;
Aż ludziom weszło w przysłowie:
Że za króla Ziemowita,
Wszystkiego było do syta! —

VII. MIECZYSŁAW.

SZKIEŁKO. — *Mieczysław król chrzci swój naród.*

A to król nasz, Mieszko stary!
Zaszczepiciel świętéj wiary,
Z urodzenia niemiał wzroku,
Aż przewidział w siódmym roku!

A jak z oczu Pan Bóg jemu
Zdjął ślepotę urodzenia,
Tak on ludowi swojemu
Przyświecił światłem zbawienia!

Miał on dużo na swéj głowie,
Niemcy gwałtem w kraj się pchali;
Z drugiéj strony Warahowie
Czerwieńskie grody zabrali. —

On jak mógł siły wszelkiemi
Bronił szczerze swojéj ziemi;
A i to nie mała sława,
Że był ojcem Bolesława!...

Co ją jeszcze wiązało?

POWIEŚĆ L. SIEMIEŃSKIEGO.

(Dokończenie.)

VII.

Miérski nie wszedł, ale wpadł do salonu.

— Dzień dobry Maryniu! — Kapelusz zerwał z głowy i cisnął na sofę....

Marya coś odpowiedziała, ale fortepian odpowiedź zagłuszył.

— Cóż bo tam brzdąkasz? mówił kwaśno... czy nigdy nie znajdziesz dla mnie i poczciwego słowa?...

Marya przestała grać, ale milczała. Adolf wielkiemi krokami chodził z kąta w kąt, jakby czém gwałtownem miotany! Gdyby się była obejrzała na niego, postrzegłaby okropny wyraz w twarzy wybladłéj i zżółkłéj; — w oczach mgłą zasutych, a jednak grających dzikim ogniem brudnéj passyi i w zmarszczonych brwiach i pofałdowaném czole; — włos rozczochrany i roztargana chustka, dopełniały malowidła rozpustnika spędzającego noce przy butelce i kartach.... Chodził prędko i warzył jakiś pomysł piekielny; ona drżała, bo jéj się zdawało, że odkrył tajemnicę i ma wybuchnąć; po kilku minutach, jakby znalazł rozwiązanie, zatrzymał się przy Maryi, a kładąc rękę na jéj ramieniu, rzekł tonem wzruszonym:

— Żono!...

Marya wzdrygnęła się i zakryła oczy.

— Żono! ty mię niecierpisz? — mówił coraz miękciejszym głosem — ty mię niecierpisz, a jednak jam godny pożałowania....

Marya pojrzała nań przelotnie i uśmiechnęła się gorzko.

— Jam nieszczęśliwy, zrujnowany!...

W odpowiedzi ścisnęła ramionami.

— Tobie to obojętne Maryo; — a jednak jabym powrócił na dobrą drogę, jabym był znowu tym samym Adolfem, jak w pierwszych chwilach pobrania się... tylko ty chciéj, ty mi daj jeszcze jeden dowód pobłażania...

Pani Miérska patrzyła nań ze wzgardą i zdziwieniem; i rzekła do siebie pół głosem: zapewne chce wymódz jaki zapis?...

— Ty się marszczysz? zaczął Miérski jeszcze pochlebniéj — tobie to nie do twarzy, zwłaszcza dziś, gdy cię tak powabną znachodzę.... Nie, nie, ty nie możesz się długo gniewać, ty zrobisz o co proszę. — Tu wziął ją za rękę przez siłę, a drugą obejmował jéj kibić.... Marya wiła się jak wąż.

— Nie dotykaj mię — mówiła — niedotykaj, na Boga!.... wszystko zrobię, tylko odsuń się...

— Jakżeś kapryśna moja duszko — czy cię kto zbuntował?...

Na to podejrzenie uczuła wszystką krew bijącą w głowę, ale przypomniała sobie, że róż nie zdradzi naturalnego rumieńca...

— Udobruchaj się Maryniu! jeśli chcesz klęknę przed tobą, przysięgnę, że będę najlepszym, najwierniejszym mężem.

— Mniejsza oto — tylko proszę niedotykaj mię, a wszystko zrobię....

— Zrobisz? Daj słowo....

— Zrobię....

— Bo widzisz, to taka bagatelka, że ją zawsze nabędziesz....

— Zrobię, tylko mów....

— Oto... lubo wiém jak umiesz cenić pamiątki— ale pamiętaj w jakiém jestem położeniu — jeżeli odmówisz, niepozostanie mi tylko w łeb sobie wypalić...

— Toby było najlepiéj....

— Żartujesz, ty tak nie myślisz duszko....

— Myślę czy niemyślę, ale chciéj skończyć mistyfikacyę....

— Oto... oto... pozwól mi brylanty twoje zastawić lub sprzedać...

Marya odetchnęła.... Adolf niewidząc na niéj wzruszenia, mówił prędko.

— Wyobraź sobie, dzisiejszéj nocy pokusa mię zaniosła do szambelana, tam zastałem kompanijkę wytrawnych graczy, którzy mię ściągnęli co do groszyka; nieszczęście tak mię prześladowało, żem jeszcze do kapitana M. puścił znaczną summę na słowo honoru; — a słowo przy kartach święte jak ewanielia. — Wreście brylanty daleko więcéj warte; mogę się odegrać jeszcze... Powiédz, nie odmówisz mi téj ostatniéj łaski Maryniu?...

Gdyby głowa Miérskiego była w téj chwili przy zwyczajnych zmysłach, gdyby był panem swéj przyrodzonéj chytrości i bystrego przeniknienia tajemnic duszy, byłby niezawodnie złapał Maryę na uśmiechu tryumfu, który zdawał się wyrażać: teraz trzymam cię w rękach; — ale Miérski, czekał tylko jak najwyższego wyroku, jéj odpowiedzi — tá nastąpiła po niejakim namyśle:

— Nieodmówię — ale pod jednym warunkiem.

— Już wiém, żebym porzucił tę aktórkę z Warszawy?...

— O nie! możesz ją sobie utrzymywać. —

— Żebym niegrywał w djabełka?

— Tak wielkiéj ofiary nie żądam.

— To zapewne, żebym niebywał na obiadach i wieczorach u jenerała L....

— Bywaj sobie i u samego Lucypera...

— Więc cóż takiego? zmiłuj się mów, bo czas tak drogi... oto już dziewiąta minęła, a my punkt o dziesiątéj zbieramy się na śniadanie u Żorża.

— Żądanie moje jest bardzo skromne i zapewne ostatnie — rzekła Marya z godnością. — Zachodzi okoliczność, że twój paszport nieodbicie potrzebny dla pewnego z nieszczęśliwych, który musi uchodzić za granicę... daj mi go...

W oczach Miérskiego błysnęła radość złośliwa; ale prędko się poskromił i cedząc przez zęby mówił:

— Dobrze to jest; jednak pamiętaj, na co mię narażasz; mogę się wplątać w djabelną awanturę; odpowiedzialność ogromna....

Marya przenikliwie spojrzała mu w oczy.

— Odpowiedzialność?... przecież o ile wiém, niejesteś skompromitowany?...

Adolf niewytrzymał jéj wzroku i zmięszał się.

— Co mówisz?! przeciwnie! najgorzéj jestem położony; moje stosunki, rozmowy zbyt śmiałe, nieraz nabawiały mię kłopotu; i gdyby nie zręczne wykręty, dawno byłbym beczał... Z tém wszystkiém, Maryo! — umiém być wdzięcznym, aż do poświęcenia się....

Ostatnie te słowa wyrzekł patetycznie i z jestem aktorskim.

— Oto masz paszport.

— Oto są brylanty! —

Małżonkowie ucieszyli się wzajemnie z zamiany: Adolf, że swéj namiętności dogadzał — Marya, że zrobiła ofiarę dla ocalenia nieszczęśliwego Rawicza.

VIII.

Twarz karciarza wypogodziła się, bo cel swych życzeń — brylanty, czuł w kieszeni; z jakąż fantazyą brał świéże rękawiczki i wkładał kapelusz; z jak skocznym mazurkiem zbiegał po wschodach; jak wreście pańskim głosem krzyknął z ganku: zajeżdżaj! —

W parę minut pojazd uniósł go ku miastu.

Marya stała na balkonie i patrzyła za odjeżdżającym.

— Adieu, panie małżonku! nawet nieoglądnąłeś się, aby mi powiedzieć ostatnie: Bądź zdrowa! Jedźże sobie, jedź z Bogiem! Nasze gwiazdy, które szatan sprowadził, nigdy się podobno niezejdą...! Już nic mię niewiąże do ciebie. — A teraz — daléj do dzieła! korzystajmy z drogiego czasu — jak mówi mój ex-małżonek, gdy się spieszy do zielonego stolika.

Marya pociągnęła za dzwonek.

— Biegaj po fiakra — rzekła do wchodzącéj sługi. —

Po danym rozkazie, Marya otworzyła biórko — pocisnęła sprężynę i wyskoczyła skryta szuflada, z któréj wyjęła dość ważny woreczek.

— Co za szczęśliwy traf, żem ocaliła choć tę odrobinę, przed nienasyconym utracyuszem! Przeliczyła — było spełna sto dukatów... Summę tę, zbierała potroszę ujmując swoim strojom, zbytkom wieczorów i objadów dawanych u siebie, bo na to Adolf niebył skąpym. — Z niéj udzielała zawsze nieszczęśliwym prześladowanym i ubogim; — teraz, jakże się przydało! teraz ma ratować dwóch więźniów: Rawicza i siebie. —

Marya na połowę przedzieliła summę i weszła do gabinetu.

— Ach! niepoznałabym pana, takeś się odmienił! mówiła drzwi otwierając.

W rzeczy saméj, ubiór elegancki zmienił więźnia w bardzo przystojnego młodzieńca; bladość pochodząca z cierpień, czyniła dziwnie zajmującémi rysy tchnące łagodnością i dobrocią idącą z serca...

Marya spuściła oczy — tą razą niebyło różu, którýby maskował jéj rumieniec.

— Panie Rawicz! mówiła tłumiąc jakieś wewnętrzne wzruszenie — oto paszport — nie zaglądaj weń, bobyś wyczytał imie, któregobyś może niechciał nosić w najostatniejszéj potrzebie... Jakkolwiek bądź jedyny to sposób ratunku...

Rawicz pocałowaniami okrywał jéj ręce...

— Jedna jeszcze prozba do pana — mówiła nieśmiało — wiém, żeś potrzebny — chciéj przyjąć...

Tu, wkładała mu woreczek do ręki, lecz gdy się wzbraniał i cofał, dodała:

— Przyjmij jak od siostry...

— Od siostry! — powtórzył rozkwilony jak dziecko.

W tém zaturkotał powóz.

— Oto fiakier zajeżdża! Słuchaj pan, taki ułożyłam program: Ja ze służącą będę w pierwszym pokoju, pan tymczasem zbiegniesz na dół — wsiądziesz do kocza i każesz się wieść do pierwszéj stacyi pocztowéj — z tamtąd odprawisz fiakra — weźmiesz pocztę i ruszysz.

— Dokąd? — zapytał Rawicz.

— Do Krakowa...

— A potém — cóż zrobię?...

— Potém?... naradzimy się jeszcze na miejscu.

— Więc pani...? nieśmiał zapytania dokończyć.—

— Jadę do Krakowa...

— Boże wielki! Krzyknął wznosząc obie dłonie do góry, i odchodząc prawie od zmysłów.

— Pamiętaj! — mówiła — dziś poniedziałek — we czwartek rano zobaczymy się w kościele Panny Maryi....

— Zobaczymy!...

— Marya podała mu rękę i oboje w pożegnalném spojrzeniu, złączyli się ślubem tak nierozerwanym, jak żadna może najuroczystsza przysięga.

IX.

Jak teraz zawiązać to pasmo zdarzeń? — prawdziwie, niewiém. Mam li kochanków złączyć na ziemi, w nagrodę wielkiéj ich miłości i cierpień — czy rozciąć ten węzeł traicznie? Sęk! pytanie! — kłopocące dzisiaj wszystkich niemal powieścio-pisarzy, którzy przesyciwszy publiczność okropnémi rozwiązaniami, teraz stają w oppozycyi i idyllicznie kończą najkrwawszą historyę. — Ani ten, ani ów system nie w moim smaku; bo czy tak, czy owak najczęściéj mija się z podobieństwem do prawdy, luboć to i w uznaniu prawdy są różne sposoby widzenia; inaczéj widzą optymiści, inaczéj pessymiści. — Gdybym był z rzędu pierwszych, powiedziałbym: że Marya i Rawicz przybyli oboje bez przypadku do Krakowa—że się widzieli w kościele Maryjackim — że ona rozpoczęła rozwodowy proces — poczém wyjechali za granicę, pobrali się i byli szczęśliwi... Lecz, że na nieszczęście patrzę na świat bez szkieł pryzmowych, że widzę cnotę często cierpiącą, a tryumfujący występek — czyli dobitniéj mówiąc: że dzisiaj moda okropnych rozwiązań — dla tego kończę moją powieść z barwą czasu i miejsca; a choćby kto dowodził, że się coś takiego nie stało, ja przecież utrzymuję, że to zmyślenie związane jest z różnych przypadków prawdziwych, aczkolwiek cząstkowie zdarzających się w rzeczywistym świecie... Na to rzeknie kto: poecie wszystko wolno! — Wolno — odpowiadam — tak, jak małéj soczewce wolno zbiérać w drobne ognisko, promienie słońca, które się na świat rozchodzą.... .

Rozwiązanie zatém, do miejsca, ducha i czasu, było takie:

Rawicz przeleciał szczęśliwie cztérdziestomilową drogę do Krakowa — przy okazywaniu paszportu na moście, gdy głośno nazwisko Miérski — wymienił — uderzyło go, że kilku młodych chłopców z zuchowatémi minami, szepnęło między sobą wyraz, który nie mile obił się o jego uszy... Nie zważał na tę bagatelę, zajęty myślą o Maryi. — Wieczorem dość późno wyszedł na plantacye — dwóch ludzi zdawało się iść za nim krok w krok, gdzie się tylko obrócił— to go gniewało i niepokoiło; ale o wszystkiém zapomniał, gdy zaczął marzyć o jutrzejszém spotkaniu się w kościele Panny Maryi... Wśród najsłodszego uniesienia — gdy całował medalion i pierścionek (Marya przy pożegnaniu oddała mu te dwa przedmioty) — dwa pchnięcia sztyletu z nieznanéj ręki, przecięły pasmo dni nieszczęśliwego Rawicza.... Marya nazajutrz o dziesiątéj wbiegła do kościoła, szukając nie-

spokojnémi oczyma.... nikogo nieznalazła, — nikogo się niedoczekała do samego południa... Z rozmowy dwóch bab w kruchcie kościelnéj dowiedziała się o wszystkiém.... Chcieć opisać jéj rozpacz, trzebaby zacząć nową historyę, straszną jak najokropniejsze tortury... Czułe dusze niech ją sobie dopiszą, to tylko dodam z pewnego źródła: że Marya wstąpiła do klasztoru, gdzie pewnie niedługo zgasła....

Kurs literatury słowiańskiéj w Collège de france.

Są chwile w życiu narodów, w których wartość każdego obywatela niezmiernie się powiększa, — są to chwile krytyczne — chwile przejścia w sferę nowego życia. W nich potęga idei narodowych niema organu urzędowego, i niewywiera na indywidua tego wpływu bespośredniego, a raczéj zewnętrznego który je zmusza pomimo nawet ich wiedzy do bronienia żyjącego prawa; potęga ta nie jest rozkazującą ale twierdzącą, dla tego téż wartość tych wszystkich, którzy dobrowolnie i bez łudzenia się obcemi żywiołami stają, z zapasem mocnego przekonania i pełnego poświęcenia w szeregach otwartych i śmiałych obrońców owych idei narodowych, jest wielką, a zasługa ich jeszcze większą. Lecz zarazem niekażden może się utrzymać przypodobnéj wartości, nawet geniusze upadają pod jéj warunkami, jeżeli potrącają sumieniem powszechności i biegają po falach własnych marzeń. Podobne uwagi nastręczają się ile razy przyjdzie spojrzeć na stanowisko Mickiewicza, jako professora literatury słowiańskiéj w Paryżu. Już 3 rok upłynął jak Mickiewicz zajął miejsce na kongresie uczonego świata, by pokazał z jednéj strony wszystkie własności pojedynczych narodów pod ogólne znanie Słowiańszczyzny podgarniętych, a z drugiéj kto i jak wyobraża w niéj myśl przyszłości; a przecież powszechnie pytamy się jeszcze czyby nie lepiéj było pozostawić francuzów w dotychczasowéj ich niewiadomości rzeczy słowiańskich, jak wprowadzać ich wyobraźnią w systematyczny chaos którego słuchają? Zaiste, jest to ważne pytanie które pomimo całéj piękności wielu bardzo ustępów kursu Mickiewicza, nieraz się nastręcza. Czegoż bowiem szuka publiczność w każdéj myśli? następstw. — Takie pytanie zadaje każdemu kto do niéj mówi. Dokąd dążysz — jaki twój cel? Otóż pierwsza fundamentalna idea Mickiewicza, niejako alembik przez który przeprowadza stósownie dobrane fakta historyczne, urywkowe marzenia niektórych poetów, stan obecnie zajmującéj nas kwestyj, i cierpienia ludu, ażeby wysnuć drogę prowadzącą do punktu wskazanego przez Mistrza Sekty którą uorganizował — jest słowiańszczyzna; jest to także ostatnia litera alfabetu w którym nakazano miłym niegdyś dla serc naszych poetom, uczyć się proroczéj wiary. Lecz narody, to nie Grażyna albo oda do młodości, ażeby je geniusz mógł stworzyć. Nawet Napoleon niepotrafił ani zbudować, ani zniszczyć jakiéj bądź narodowości. Potrzeba żeby miała swoją przeszłość, — żeby żyła kiedykolwiek i niezaparła się swojego życia, a może mieć pretensyą istnienia; — potrzeba żeby była zmyśloną, przypadkowo sklejoną, na ruinach obcych wzrosłych, ażeby ją zniszczyć lub do właściwych proporcyi sprowadzić można. Czyż słowiańszczyzna ma swoją narodową przeszłość, swoje narodowe życie. Tego nawet Mickiewicz nieprzypuszcza, a jednak ją tworzy. Cóż ona jest ta słowiańszczyzna, — gdzież ją znajdziesz, gdzie ją uchwycisz. Czy w spólnéj myśli, czy we wspólném męczeństwie. Niejestże to drzewo którego rozłożyste gałęzie z jednego pnia wychodzą, jednemi sokami się żywią, ale oddzielnie rosną? Na próżno byś wiązał je z sobą, nie zrobisz z nich pnia jednego. Wielkie gałęzie mogą wyciągnąć soki z drobnych gałązek i tym sposobem rozrość się znakomicie, ale niebędzie to już pierwotny pień — będą nowe drzewa. Mickiewicz jednak niechce być listkiem, ani na gałęzi polskiéj, ani na rossyjskiéj, ani na czeskiéj — chce je powiązać razem albo wcisnąć napowrót w pień zkąd wyszły. Od Polaków bierze poświęcenie, ideał życia narodowego, u Rossyan uderza go geniusz posłuszeństwa dla carów, od innych bierze co znaleść może dobrego, i tym narodowym eklektyzmem, chce utworzyć jakieś dotąd nieznane społeczeństwo, nakształt Kollara, który w swojéj słowiańszczyznie głowę dawał Rossyj, serce Polsce, a ręce Czechom.

Druga idea na katedrze w Collège de france rozwijana, widzi lud słowiański najzdolniejszym do przyjęcia prawdy, i powołanym do spełnienia nowéj ery w ludzkości; — stawia go w oczekiwaniu. Lud ten nie sfałszował tradycyj ani poezyą ani sztuką, przedstawia on dzisiaj w swoim języku kosztowne pomniki do oświecenia téjże tradycyj; lud słowiański nieskrzywił doktrynami idei obrządku religijnego, a zatém filozoficznie nawet uważając, przeznaczony jest uczuć głębiéj jak inne i rozsiać z większą mocą... prawdę. — (Lekcya 7. Marca 1843.). Lecz Słowianie nie mieli objawienia, filozofia u nich urodzić się niemogła. Religia ich nawet była raczéj opinią

niżeli wiarą: mieli mniemania religijne, nie mieli religijnego słowa, słowa które objawia prawdy wyższe i działa jako natchnione od władzy nadziemskiéj. Dla tego téż lud ten niemógł się zgromadzić około jednego głosu, pójść za jednym powszechnym popędem, przedsięwziąść jaką rozległą wyprawę, któraby miała cel rozległy i tajemniczy. (Lekcya 15. Stycznia 1841.). Jakże tedy lud słowiański może być zdolnym do przyjęcia i propagowania prawdy, kiedy przez długowieczne życie swoje nie mógł nic przedsięwziąść, coby miało cel rozległy i tajemniczy? Jakże może być zdolnym do przyjęcia nowego słowa, kiedy niezna objawienia, kiedy mu zbywa na cudowności (Lekcya 16. Lutego 1841.), kiedy niemasz u niego śladu związku widocznego między bóstwem, a człowiekiem, kiedy nigdy Bóg nieprzemawiał do żadnego ze Słowian, nigdy im nie posłał swego proroka, swego syna. (Lekcya 12. Stycznia 1841.). To też Mickiewicz nie bardzo wierzy w lud słowiański, bo go oddaje na łaskę losu obcego, w ręce messyanizmu, którego ruch i potęga we Francyi spoczywają. Geniusz francuzki znajdzie w rassie słowiańskiéj poparcie, zachęcenie i narzędzie i z rassy téj będzie armija nowego słowa, pod dowództwem geniusza francuzkiego. (Lekcya 27. Czerwca 1843.). O dziwne to są marzenia! — Nikt zapewne, kto potrafi głęboko czuć i silnie wierzyć nie zaprzeczy, że kiedyś słowiańszczyznę czeka świetna przyszłość, ale któż się zgodzi na nadanie im owéj izraelskiéj bierności, jaką Mickiewicz wmówić w nią usiłuje. Któż nie widzi obce umysły zatrważającego ruchu w rozmaitych gałęziach drzewa słowiańskiego, od czasu, kiedy nowy sztandar owionął wszystkie jego krainy. Miałożby to życie tak płodne i tak wytrwałe oczekiwać zachodniego zmroku, kiedy już zorza nowego dnia tak pięknie mu przyświeca. Czyżby ta ziemia, co tyle męczeństw i wielkości wydała, nie była zdolną wypuścić z własnego łona tyle potężnych krzewów, ile jéj do nowego ogrodu potrzeba będzie. Zresztą gdzie jest idea przyszłości, tam i życie i twórca tego życia być musi. Rzym miał swoją ideę — miał też swoich Cezarów; Francya miała swoją ideę — miała też swojego Napoleona. A więc najzdolniejsza do przyjęcia i rozsiania nowego słowa gałąź w słowiańszczyznie, musi mieć także swój własny geniusz, swoje własne narzędzie, a nie czekać ani się spodziewać obcego, którLby jéj głosu zrozumieć niepotrafił. Geniusz ten niebędzie to ani Cezar, ani Napoleon, ale massa — lud, bo taka jest natura społeczeństwa, na którego barkach los przyszłości spoczywa.

W tegorocznym kursie Mickiewicz rozwijając swoje ulubione marzenia o słowiańszczyznie i messyanizmie, rzucił jeszcze okiem na przeszłość Słowian. Trzymając się ściśle niektórych antykwaryuszów i za pomocą mniéj więcéj szczęśliwego podobieństwa wyrazów, utrzymywał, że Słowianie przyszli z Azyi, i że po całéj Europie znajdują się ślady ich pobytu. Słowianie mieli zamieszkiwać wiele miejsc we Włoszech, we Francyi, w Belgii; Wenecya znaczy Wenetki albo Benatki; miasto francuzkie Brest — to Brześć; stolica Wenetów albo Henetów (Słowian w Belgii) nazywała się Eziriseum albo Ozirisko - Jezierak; Nabuchodonozor jest nazwa słowiańska: Ne-buh-odno-car, Niema Boga tylko Car. — Podobnie dawniéj utrzymywano, że Babilon to sławiańskie miasto Babiełono; a Düsseldorf to sławiański Dusitorf; a Strazburg to Strażnica. — System mitologii słowiańskiéj niedawno odkryty przez uczonych Niemców ma być najobszerniejszy, najgłębszy, najpełniejszy ze wszystkich; źródło jego jak innych jest w Azyi, niemożna jednak poznać mitologii ani Indyan, ani Persów, ani Greków, bez poznania systemu słowiańskiego, czyli literacko-słowiańskiego — i nawzajem. Oprócz tego Słowianie mają tę korzyść nad innemi narodami, że sami tylko przechowali w czystości tradycyę, czyli uczucie rodzące bóstwo; byli oni bierni do tego czasu; wielcy na karcie świata są niczém w historyi literackiéj, artystycznéj i politycznéj — w historyi dzisiaj pojmowanéj — w historyi zbudowanéj i napisanéj. Ale za to lud słowiański posiada naukę najdroższą ze wszystkich, naukę poznawania i wykonywania prawdy.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Czytamy w jednym dzienniku amerykańskim zawiadomienie, iż odtąd wszystkie doniesienia o wesołach małemi czcionkami będą w nim drukowane, jeżeli drukarnia ciast weselnych nie otrzyma, skoro do ciast jeszcze rękawiczki dodane zostaną lub inny podarunek, natenczas redakcya do wiadomości o weselu przyłączy uroczystą poezyą; gdyby zaś i sam redaktor na wesele został zaproszony, wówczas doniesienie w dzienniku nastąpi ozdobione i umalowane. Zresztą niebezpieczną jest rzeczą być dziennikarzem w Stanach Zjednoczonych, jak to się okazało w Wiksbury, gdzie redaktora „Widety“, na ulicy, podczas dnia zastrzelił człowiek, naprzeciw któremu umieścił uwagi w swojém piśmie. Z drugiéj strony

stan dziennikarzy przychodzi do wielkiego znaczenia, sam Wielki Moguł w Indyach został redaktorem, i wydaje w swéj stolicy własnym nakładem dziennik indyjski.

Walec arcybiskupa. — Cóż to znaczy ów walec arcybiskupa? zapytają nasi czytelnicy; czy to nowy rodzaj walca? W rzeczy saméj, zupełnie nowy. Miasto Salins we Francyi zgorzało, i wiele rodzin pogrążonych zostało w nędzy. Arcybiskup w Bordeaux ile mógł pamiętał o biednych, zbierać zalecił jałmużnę w swéj diecezyi, a dowiedziawszy się, iż w Bordeaux bogaty kupiec bal daje i dochód z niego na pogorzelców przeznacza, przybył o północy na salę i stanął śród tańczących. Na widok starca orkiestra ustała, tanecznicy rozbiegli się na miejsca, a gospodarz domu zdobywał się na grzeczności. „Pocóż taniec było przerywać?“ rzekł arcybiskup, „nie przybywam psuć wam tu zabawy, tańczcie, koléj i na mnie przyjdzie.“ Mimo prożb i nalegań, panny tańczyć nie chciały. „Kiedy tak“, rzekł wówczas arcybiskup i skinął na orkiestrę, „to zagrajcie przynajmniéj dla mnie walca.“ Wziął tymczasem panię domu pod rękę, prowadził po sali i prosił o składkę dla pogorzelców. I znaczna zebrała się składka, przy odgłosie miłéj i cichéj muzyki; niepodobna oddać uczuć, które poruszały serca przytomnych. Odtąd nazywają w Bordeaux każde podobne szlachetne, a niespodziewane zdarzenie, walcem arcybiskupa.

MODY.

Paryż, dnia 9. Sierpnia 1843.

Często słyszymy, „moda Paryż opuściła; chroni się do wód i zagranicę.“ Wszakże tém samém powiedziano, że zagranica zawsze zawisła we względzie mód od Paryża, bo wszystko nowe i piękne z Paryża pochodzi. Szczególniéj wiele przedmiotów mody wysyłają do Rossyi i do Turcyi; w ostatniéj nawet turbany ustępują miejsca kapeluszom paryskim. W Mołdawii noszą damy tylko paryskie toalety. Przeciwnie w Paryżu narzekają na zbyteczną pojedyńczość w ubiorach, na zaniedbanie wyszukańszych toalet w świecie eleganckim. Przebaczamy, mówią paryskie modystki, że damy w mieszkaniach swoich lub na przechadzkach przenoszą nad wytworność pojedyńczy szlafroczek i kapelusz słomiany z pojedyńczą wstążką, bo to dowodzi dobrego smaku, ale dokąd prowadzi owa przesadzona pojedyńczość w ubiorach po teatrach, koncertach i wielkich towarzystwach? Obawiać się należy tego zaniedbania w świeżości i elegancyi w toaletach damskich, bo ono zdaje się jednoczyć z zamiarem męszczyzn, tworzenia klubów nakształt londyńskich. Ale kluby angielskie wyłączną są przyczyną, dla czego niemasz przyjemnego towarzystwa w Londynie; jeżeli więc życie w klubach na Paryż się przeniesie, już tam zapewne owa sławiona przyjemność towarzystw francuzkich nazawsze zaginie. Jeżeli mężczyzni od kobiet w towarzystwach oddzielą się i tylko na klubach ograniczać się będą, naówczas i kobiety nie będą miały przyczyny, szczególniejszéj zwracać uwagi na swe ubiory.

Za wzór elegancyi przytaczamy w téj porze. Pewna dama występuje w sukni jedwabnéj mieniącéj, orzuconéj falbaną fontażową w zęby wyciętą, z dwóch stron otwartéj i zdobnéj rozetami z wstążek. Na głowie maleńki kapelusz krepowy z małym obwodem, na tył owieszony, zdobny bukietem piór. Szyja i uszy bez ozdób, tak jak teraz moda wymaga. — Inna dama ukazała się w pojedyńczéj sukni organtynowéj i w kannezou suto haftowanym i orzuconym koronkami.

Małe zasłony u kapeluszy znikają, a natomiast noszą bardzo długie, widzieliśmy dwie damy z zasłonami aż po kolana.

Szlafroczki noszą z flaneli, przerabianéj włósiem; jest ona mięka, ciepła i lekka. Szkotycyzm w téj chwili przeważa, a nawet i w obowiu nóg, bo widzimy piękne bóciki ze szkockiéj tkaniny.

Kapelusze najświeższe są krepowe i z słomy ryżowéj. Bukiet z piór w kolorze wstążek, lub jedno długie pióro w rodzaju wierzby płaczącéj szczególniéj podobają się.

Objaśnienie ryciny.

1. Frak z szerokiemi połami, nieco zaokrąglonemi, szerokie wyłogi, kieszenie na biodrach, świecące guziki. Obcisłe pantalony, u paska we fałdy ułożone.
2. Frak używany do przejazdek na koniu. Jasne pantalony. Szlips jedwabny.
3. Kapelusz koronkowy z piórem stojącém i szeroką wstążką. Suknia bez ozdób. Mantelet muślinowy, bufkami orzucony.
4. Okrągły czepek koronkowy, bufkami wstążek zdobny. Opończa biała muślinowa, z przodu otwarta, koszulkowy stanik, rękawy greckie i szeroka przepaska; wszystko oszyte wązką koronką. Suknia spodnia z białego muślinu. Stanik wysoko zachodzący i w ukos ściągany. Powłokę zdobi szeroki brzeg haftowany.
5. Suknia bareżowa z podwójną powłoką. Stanik koszulkowy. Czepek batystowy, haftowany i wiankiem róż strojny. Szerokie mankietki.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*